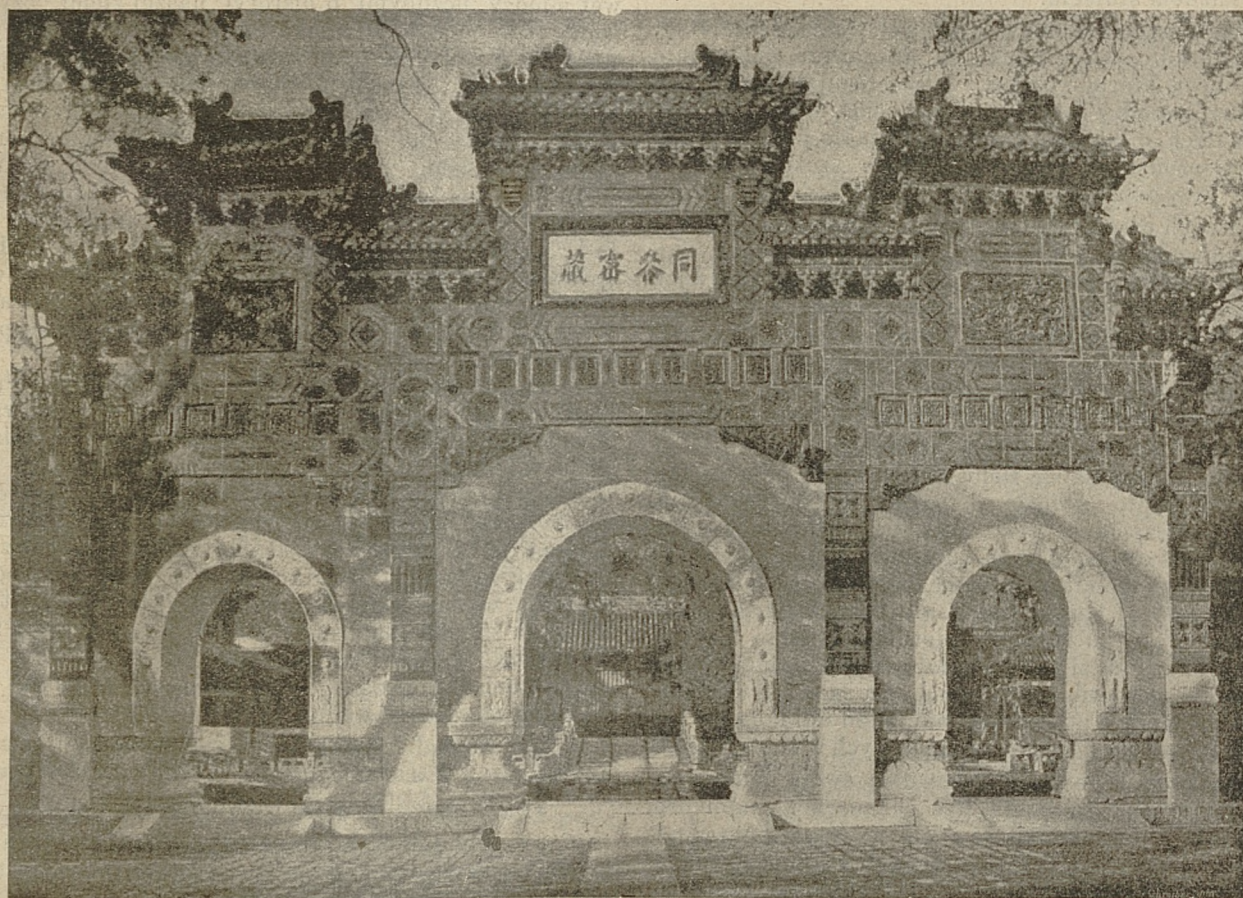


№ 38 Rok XXI.

Dnia 9 (22) Września 1900 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Brama pałacu cesarskiego w Pekinie.

Dr. M. Stefanowska.

NA SCHYLKU XIX STULECIA.

Wkrótce rozpoczynamy nowe stulecie. W oczekiwaniu tej epoki wyobrażnia wielu osób buja w świecie fantazyi; osoby te wyobrażają sobie, że z rozpoczęciem się XX wieku życie ludzkie stanie się nagle zupełnie odmiennem od teraźniejszego. Mylne to mniemanie, gdyż życie nasze płynie i przekształca się powoli, nieznacznie, a dzisiejsze czyny nasze zawsze związane są z czynami dnia wczorajszego. Dla tego też początek XX stulecia z konieczności będzie miał wiele wspólnego ze schyłkiem XIX stulecia.

Gdybyśmy jednak czarodziejskim jakimś sposobem ujrzeć mogli świat ten za lat sto, jakże byłibyśmy olśnieni jego widokiem! Nie poznalibyśmy ani miast ani wiosek; obyczaje i ubiory mieszkańców inne będą niż dziś, nawet mowa każdego narodu stanie się nieco odmienną od teraźniejszej. Niestety, nikt z najmędrszych nawet ludzi nie jest w stanie przewidzieć dokładnie, jak przedstawiać się będzie świat nasz za lat sto. Możemy jedynie twierdzić, że w ciągu tak długiego okresu zajdą wielkie zmiany w życiu wszystkich ludów, a pewność tę czerpiemy z czasów przeszłych. Jeżeli bowiem nie możemy odgadnąć przyszłości, to w zamian za to w historii wyczytać możemy, co duch ludzki z woli Bożej, zdziałał w każdym stuleciu.

Dziewiętnastemu wiekowi przypadł w udziale świetny, niebывały dotąd postęp nauk, co na zawsze pozostanie chlubą epoki w której żyjemy. Aby zrozumieć ten niezmierny rozwój wiedzy bieżącego stulecia, musimy cofnąć się myślą wstecz o lat sto i zobaczyć, jakie pojęcie miało o życiu społeczeństwo, obdarzone nader szczupłym zasobem wiedzy przyrodniczej.

Za naszych czasów drobna nawet dziatwa szkolna wie dobrze, że powietrze, otaczające nasz świat, nie jest bynajmniej pierwiastkiem prostym, lecz że składa się z dwóch gazów: *tłenu i azotu* razem zmieszanych, oraz, że woda powstaje z połączenia dwóch gazów: *tłenu i wodoru*. Wszyscy wiemy dokładnie, że tlen jest owym drogocennym pierwiastkiem, bez którego żyjące istoty istniećby nie mogły. Nawet otaczające nas martwe przedmioty łączą się wciąż z tlenem, czyli, jak uczeni mówią, ciała te *utleniają się*.

W skutek łączenia się tlenu z rozmaitemi przedmiotami, powstaje ciepło i światło — te dwie siły przyrody niezbędne do podtrzymania życia na ziemi. Prawdziwe znaczenie tlenu na świecie odkryto dopiero w końcu XVIII-go stulecia, dzięki znakomitym pracom Priestleya, Lavoisiera *) i Cavendisha (czytaj Kawandisza) ale te nieśmiertelne odkrycia znane były początkowo niewielkiej tylko garstce uczonych; ogół zaś ludzi nie posiadał jeszcze żadnego pojęcia o tlenie; przodkowie nasi przed stu laty nie wiedzieli jaki jest skład wody i powietrza; nie mieli dokładnego pojęcia o *zjawiskach chemicznych*, zachodzących w naszym ciele.

Ośmnasty wiek posiadał wprawdzie swoją naukę zwaną *chemią*, ale jaka to mogła być chemia bez znajomości tlenu? To też nie wiedzano wówczas na czym polega oddychanie, nie rozumiano też wielu innych czynności, zachodzących w żywych istotach, czy to w zwierzętach, czy w roślinach, przyczem tlen odgrywa zawsze pierwszorzędne znaczenie.

Nauka o czynnościach żyjących stworzeń czyli *fizjologia* rozwinęła się przeto głównie w naszym stuleciu, ku czemu dopomógł przeważnie niezwykle rozwój *chemii*, oparty na poznaniu własności tlenu.

*) W tym roku właśnie odbyła się w Paryżu uroczystość odsłonięcia pomnika Lavoisiera.

Dziś we wszystkich podręcznikach fizjologii opisują dokładnie, jaki wpływ na nasz organizm wywierają zjawiska fizyczne oraz ciała chemiczne do niego wprowadzone. Wiemy, do czego służą pokarmy i zjad się bierze ciepło w naszym ciele. Pod tym względem ciało ludzkie i zwierzęce podobne jest do maszyny parowej, która potrzebuje węgla, aby wytworzyć ciepło, za pomocą którego wykonywa następnie pracę. Człowiek wytwarza w sobie ciepło, aby mógł istnieć, chodzić, myśleć i pracować. Ciepło nasze wytwarza się z pokarmów.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że poznanie życia zwierząt morskich wywarło ogromny wpływ na postęp nauk przyrodniczych i zasadniczo zmieniło nasz pogląd na całą przyrodę; a wiemy przecie, że wszechstronne badanie *fauny* morskiej jest dziełem naszego stulecia.

Wiek nasz był świadkiem szeregu odkryć i dociekań w dziedzinie biologii, czyli nauki o życiu; za naszych czasów większość osób wie o tem, że kurczę, żaba, motyl, róża, groch i t. p. rozwijają się stopniowo z drobnych zawiązków. Jajko np. ptaka, w warunkach odpowiednich, wchłania w siebie tlen, i *rozwija się*, to naczy, że powstają w nim coraz to nowe a odmienne cząsteczki, które rozmaicie się układają, aż w końcu jajko zmienia się w istotę bardzo złożoną jakim jest żyjące kurczę. Jednakże wiadomości, jakie posiadamy o rozwoju zwierząt i roślin są zdobyczą naszego stulecia; w zeszłym stuleciu nic prawie jeszcze nie wiadano o tej ciekawej gałęzi wiedzy, a o rozwoju zwierząt opowiadano sobie przeróżne baśnie.

Niemniej dziwaczne pojęcia przed stu laty krążyły nawet między uczonymi o historii naszej ziemi, czyli o *geologii*. Rzecz można, że nauka ta nie istniała jeszcze w owym czasie. W XIX stuleciu zabrano się do badania gór, skał, lodowców; we wszystkich krajach zebrano mnóstwo skamieniałych zwierząt i roślin, które głęboko zagrzebane były w warstwach ziemi. Skamieniałości te opisano, porównano z teraźniejszymi zwierzętami i roślinami i wykryto, że w dawno ubiegłych czasach flora i fauna odmienne były od teraźniejszych, lecz że znajdujące się teraz na ziemi zwierzęta i rośliny, pochodzą od istot dawno wyginionych. Tym sposobem badając skorupę ziemi warstwa po warstwie, jakby w wielkiej księdze odczytano jej przeszłość, oraz koleje przez jakie żywe istoty przechodziły na ziemi od początku świata aż do naszych czasów.

Takiż sam piękny rozwój cechuje wiele innych jeszcze nauk w XIX stuleciu. Wszyscy wiemy np. jak ważne zastosowanie otrzymała elektryczność nawet w codziennym życiu, a jednak świetna ta nauka jest dzieciństwem naszego stulecia, zwanego z tej przyczyny *wiekami elektryczności*. Można by wiele jeszcze powiedzieć o postępach innych nauk, dokonanych w nowszych czasach; ale już z powyższego opisu widać wyraźnie, że pod względem pojęć przyrodniczych wielka przepaść istnieje między XVIII a XIX stuleciem. W ciągu stu lat ostatnich pojęcia nasze o życiu zupełnie przekształciły się i udoskonaliły. Najważniejsze postępy przyrodnicze kończącego się stulecia, możnaaby streścić w następujących słowach:

- 1) Poznaliśmy jak odbywają się rozmaite czynności fizjologiczne w nas samych, w zwierzętach i roślinach.
- 2) Przyjrzeliliśmy się rozwojowi życia istot.
- 3) Zbadanie płaszczyzn i otchłani morskich oświeciło nas, jak upływa życie zwierząt w tych niezmiernych obszarach.
- 4) W pokładach skał, jak w olbrzymich cmentarzyskach wyczytaliśmy niezmiernie starą historię naszej ziemi oraz historię stworzeń, które ją niegdyś zamieszkiwały.

Wiadomości nasze nie tylko pomnożyły się, ale nadto rozpowszechniły się wśród ogółu. Nietylko teraźniejsi nasi uczeni stoją w ogóle wyżej od uczonych dawniejszych, ale prócz tego w naszych czasach osoby nieco wykształcone umieją tyleż, a nawet więcej nad to, co umieli uczeni w XVIII stuleciu.

Nie wypada atoli pysznić się z przyczyny tej wyższości naszego stulecia, gdyż zapominać nie należy, że zarodki wielu nauk tkwiły już w umysłach nawet u ludów starożytnych. Żadna bowiem prawda naukowa nie powstaje nagle, lecz zawsze jest wynikiem czegoś, co ją poprzedziło i nawzajem toruje drogę czasom przyszłym. Jakże często znajdujemy w księgach starożytnych zaczątki jakiegoś pojęcia naukowego, które potem nagle się rozpowszechniło jako wielka prawda, gdyż umysły stopniowo przygotowane zostały do przyjęcia tej prawdy.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Marysia przypominała sobie swoje króliki, które zostawiła na dworze, w małym ogrodzeniu za oborą, i pomyślała sobie, że biedne zwierzątka pewnie są w śmiertelnym strachu. Zdjęta litością wybiegła, chcąc je przenieść do kuchni. Drzwi z sieni prowadzące na dziedziniec, były już zamknięte na zawór *): odsunęła ją i wybiegła za budynki. Wiatr już dał silny, tak że ujsć było trudno, ale dziewczynka trzymając się ściany domostwa, a potem ściany obory, doszła do zagrodzenia, gdzie w kącie strwożone siedziały króliki. Ucieszona wzięła je na ręce i chciała iść ku domowi, ale ta jedna chwila wystarczyła aby jej powrót uniemożliwić. Gdyby jeszcze trzymała się mocno ściany, jak to czyniła idąc tutaj, doszłaby do domu choć z trudnością; ale przytuliwszy króliki do piersi, miała obie ręce zajęte. Tymczasem w tej jednej chwili właśnie stało się coś dziwnego: ogarnęła ją nagle ciemność i posłyszala szum, świst, ryk, jęki i wycia. Wiatr zarzucił jej spodniczkę na głowę; podmuch jego szedł od strony gór potężny, straszliwy, i grał najrozmaitszemi głosami, unosząc przerażoną dziewczynkę w kierunku przeciwnym domowi. Na drodze tańczyły potężne tumany piasku i wiru, wciągając w wir tańca drobne kamyki, a świerki gięły się jak trzciny i były czołem o ziemię, strąsając szyszki ulatujące na wietrze. Wody potoku rozbiegły się na boki mnóstwem strug białych i pędziły spienione. Ponad szczytami niebo zawalone było olbrzymiemi kłębami chmur ciemnych, lecących na pozór z szaloną szybkością, a w rzeczywistości przewalających się i szamocących na miejscu. Potężny wir powietrza tańczący w środku doliny, szarpał całe to morze chmur, spływających z góry, darł je z wściekłością na szmaty i ciskał na boki!

Ze spodniczką zarzuconą na oczy, od której napróżno ruchem głowy oswobodzić się usiłowała, biegła Marysia nie dotykając prawie ziemi, łakną nad potokiem, przerażona, z płaczem głośnym którego nikt nie słyszał, przyciskając mocno króliki do piersi. Nie wiedziała gdzie jest i w którą zwrócić się stronę. Jeszcze chwila, a wichur wpędzi ją w potok, którego nurt spieniony po wielkich tutaj płynął głazach belkocząc gniewnie, niby pomruk dzikiego a podrażnionego zwierza. Tak lecąca zatrzymała się nagle w pędzie o jakąś wysoką zapórę, która na razie wydała się jej drzewem. Jakieś ręce objęły ją i głos łagodny, niski, przemówił:

— Nie bój się maleńka!

Chociaż Marysia pierwszy raz w życiu słyszała ten głos, jednakże od razu natchnął ją ufnością. Przestrasch pierchnął w jednej chwili, czuła że znalazła ocalenie i przytuliła się cała do nieznanego, który powiedział:

— Musimy położyć się na ziemi, aż ten prąd przędzie, bo iść dalej niepodobna.

Dziewczynka posłusznie położyła się przy nim, trzymając ciągle swoje króliki, z których jeden tylnymi łapkami uczynił taki ruch, jakby się chciał oswobodzić.

— Panie, panie, niech pan trzyma! — szepnęła błagalnie.

— Co takiego? — zapytał, czując że oprócz dziewczynki, którą prawem obejmował ramieniem, coś innego jeszcze się przy niej rusza.

— Królik — odrzekła głosem w którym czuć było chęć do płaczu — a ten okropny wiatr go zabije!

Nieznamy wyciągnął rękę w kierunku dezertera i przytrzymał go.

Wicher przelatywał nad ich głowami, a z nim liście, szyszki, drobne kamyki i strzępy chmur — a potem wszystko ucichło: drzewa się wyprostowały, tumany piasku opadły, i błydy promyk słońca przedarł się przez chmury. Nieznajomy wstał i podniósł dziewczynkę, która teraz dopiero mogła spojrzeć w twarz swemu wybawcy. Był to starzec z rudawą spiczastą, posiwiałą brodą, ostrymi rysami twarzy i ciemnymi wypukłymi oczyma, w których w tej chwili był ciepły, prawie tkliwy blask. Głowę schowaną miał w kaptur popielatego sukienego płaszcza, z kąd wyglądał tylko brzeg pilśniowego kapelusza.

— Gdzie mieszkasz, maleńka? — zapytał.

— Na Krupówkach, pod lasem, ot tam — rzekła, wskazując ręką.

— Odprowadzę cię. A gdzie to niosłaś te króliki?

— Do pokoju: bo one były na dworze widzi pan, więc jak się ten okropny wiatr zerwał, tak mi się żal zrobiło, że się będą bały, albo im się jeszcze co stanie! Wysłałam, ale nie mogłam trafić do domu — tak było ciemno na polu.

— I o mało nie wpadłaś do potoku — dokończył nieznajomy. — Chodź, musimy się spieszyć, żeby dojść do chat najbliższych, zanim drugi podmuch nadejdzie.

Ale drobne kroki Marysi nie mogły nadążyć nieznajomemu, zwłaszcza że dźwigała swoje króliki, ciągle się bojąc o nie. Więc wziął ją na ręce i podniósłszy pelerynę swego płaszcza, okrył nią dziewczynkę.

— Trzymaj mnie się dobrze, maleńka — powiedział — żeby mi cię wiatr nie porwał, bo drugi podmuch zaraz przyjdzie.

— Pan jest bardzo dobry — powiedziała, obejmując go za szyję jedną ręką, bo drugą trzymać musiała króliki — zupełnie jak mój dziadunio. On także mówi do mnie „maleńka.”

Nieznamy nie szedł ale biegł ze swoim ciężarem, aż dotarł do chat stojących na poprzek łąki wśród drzew. Drugi podmuch wiatru nadchodził silniejszy od pierwszego.

— Nie boisz się? — zapytał, pochylając twarz ku dziewczynce?

— Nie — odrzekła — ale jeden królik znowu się rusza i chce uciec!

— Bądź spokojna, nie puścimy go.

— I tak moko na łące...

— Dostałby niezawodnie kataru — dodał rozśmieszony tą troskliwością.

Gdy to mówił, byli już pod ścianą chaty. Nieznajomy stanął pod okapem dachu i rzekł:

— Tu poczekamy trochę aż podmuch przejdzie.

— Czy długo będziemy czekali? — spytała, przypominawszy sobie że w domu nic nie wiedzą o jej przygodzie i pewnie jej szukają.

— Niedługo. A czy ci bardzo pilno?

— Tak, bo widzi pan, babunia nie wie że ja wysłałam na podwórze, i pewnie myśli że zginęłam; braciszek także.

— To maleńka ma braciszka?

*) Zasuwa.

— A mam; jest duży i bardzo mądry. Wie pan, on się zna na barometrze!

— A to dopiero!

— I bardzo silny: zabił niedawno żywego niedźwiedzia, aż się Anglicy dziwowali, że on to potrafi. Może pan mi nie wierzy? Ale skóra jest, to można panu pokazać!

Marysia poczuła żywe poruszenie nieznanego, ale dziwiła się bardzo, że tak spokojnie wysłuchał tej wiadomości — bez okrzyku zdziwienia, jakby to była rzecz zwyczajna i uczuła nawet za to do niego pewną urazę.

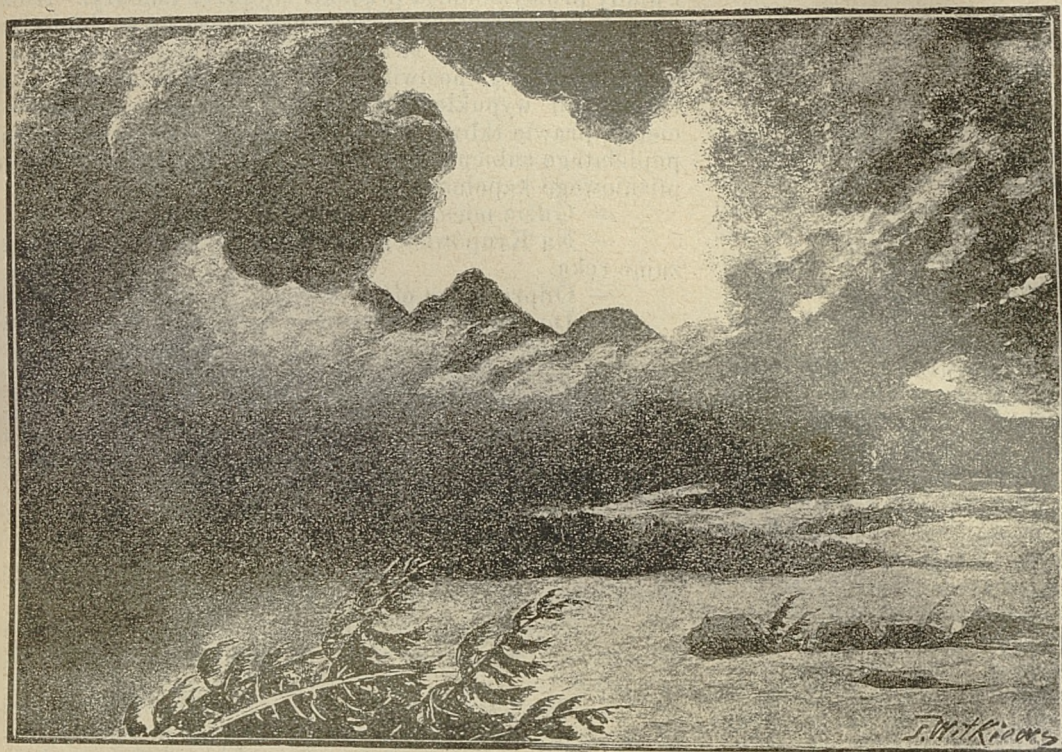
— Pan się pewnie na tem nie zna! — rzekła z politowaniem.

— Tak jest, maleńka, nie znam się — odrzekł poważnie.

— I nigdy pan nikogo nie zabił?

Nieznajomy milczał. Pierś jego podniosła się ciężkiem westchnieniem.

(d. c. n.)



Wiatr halny, czyli po góralsku „Dujawa.”

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

(Dalszy ciąg).

Pogarda dla Cudzoziemców.

W niektórych miastach chińskich oddawna przebywają cudzoziemcy, a wielkie i bogate miasto Kanton znajduje się już przeszło 360 lat w stałych stosunkach z Europą. Nieszczególną sobie jednak obcy przybysze wyrobili tam opinię. Dowodem tego głęboka pogarda dla cudzoziemców, której Chińczycy nawet ukryć nie umieją.

Uważają oni siebie, jak niegdyś Grecy starożytni, za jedyny na świecie naród cywilizowany. Nawet w aktach

urzędowych obcokrajowców stale nazywali „barbarzyńcami.” Dopiero w 1860 roku Anglia i Francja, zawierając umowę z Chinami, stanowczo zażądały usunięcia uwłaczającego im przezwiska.

Mimo to i dziś traktują Chińczycy obcych z lekceważeniem, a w najlepszym razie z pewną pobłażliwą ciekawością.

Pierwsze niekorzystne wrażenie sprawia na nich strój europejski. Wprawdzie nam wydają się chińskie ubiory niezgrabne, wiszące, tamujące swobodę ruchów, lecz my mamy zupełnie inne wymagania, potrzebujemy więcej ruchu i swobody, aniżeli ludy wschodnie. Po bliższym zastanowieniu się musimy przyznać, że dla Chińczyków, przy małej ich ruchliwości, taki właśnie ubiór jest najodpowiedniejszy. Za to nasze kostiumy wydają się im bardzo śmieszne.

Narody azyatyckie lubują się w szatach swobodnych, układających się w piękne fałdy, by zagubić kształty ciała.

Chińczyk, odziany w kurtkę, nie ośmieliłby się pokazać publicznie; tymczasem w kraju swym spotyka ciągle cudzoziemców, ubranych w tak zwane przez krajowców „małpie kaftany.”

Europejskie żakiety i smokingi, wyłożone po ubu stronach, z guzikami z których ani jednego zapiąć niepodobna, a szczególnie fraki, ośmieszają nas w oczach Chińczyków, tem bardziej, że wszystkie te ubrania nie okrywają wcale piersi, najwięcej wrażliwych na zmiany powietrza. Dwa guziki, przyszyte z tyłu ubrania, na które się nigdy nie zapina, są również powodem ostrej krytyki Chińczyków. Uważają je oni za zupełnie bezużyteczne, a mało ozdabiające. Stroje kobiet europejskich jeszcze więcej obrażają pojęcia Chińczyków o pięknie.

Nieznajomość języka chińskiego ostatecznie poniża cudzoziemców w oczach krajowców. Nie zastanawiają się nad tem, że ludzie ci mogą

płynnie mówić kilku językami europejskimi, lecz jeśli nie rozumieją, co mówi do nich prosty robotnik, człowiek ten patrzy na nich z lekceważeniem. Kiedy zaś cudzoziemiec pragnie nauczyć się miejscowego języka i walczyć z trudnościami, Chińczycy śmieją się z jego wysiłków i często dochodzi go pogardliwa uwaga własnych służących: „On tego nie rozumie.”

Największej jednak pogardy doznają obcy przybysze z powodu nieznajomości i lekceważenia ceremonii chińskich, co w oczach krajowców równa się z zupełnym brakiem dobrego wychowania. Dumny Chińczyk, przejęty wzgardą dla nieokrzesanego barbarzyńcy, nieraz uchybi mu do tkliwie, wiedząc, iż biedna ofiara jego drwin, poznać się natem nie umie.

Jeśli bezstronnie porównać strój i zachowanie się urzędnika chińskiego: wspaniałe jego powłóczyste szaty, spokojne, pełne wdzięku i godności ruchy z krótkim strojem i nerwowym niepokojem europejskiego gościa, to przy-

znać musimy, że jedynie ogromna, wrodzona grzeczność Chińczyków powstrzymuje ich od śmiechu na widok tak rażącego przeciwieństwa.

Wyobraźmy też sobie, jakie wrażenie odnieść musieli Chińczycy, kiedy w 1878 roku zapowiedziano im przybycie słynnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Spodziewali się ujrzeć „Wielkiego Cesarza Amerykańskiego” wśród wspaniałego orszaku strojnych dworzan, a zobaczyli generała Grant'a w zwykłym cywilnym ubraniu europejskiem, z cygarem w ustach, idącego samotnie przez ulice miasta.

Zdarza się, iż konsul zagraniczny, który godnością odpowiada mandarynowi trzeciej klasy, udaje się do gubernatora jakiejś prowincji z ważną misją polityczną. Na murach miasta zbierają się wówczas tysiące ciekawych mieszkańców, by przyjrzeć się pochodowi zagranicznego dygnitarza. Aż tu pochód składa się zaledwie z kilku koni wierzchowych i wozów pod rzeczy, a całą świtę pańską stanowi tłumacz i dwóch Chińczyków: z których jeden oznajmić ma przybycie gościa, drugi zaś pełni służbę kucharską.

Na widok tak skromnego orszaku zgromadzeni obywatele, którzy jak wszystkie ludy azjatyckie, różniłowani są w bogatych i świetnych uroczystościach, uczuwają zawód, z którego rodzi się uczucie pogardy.

Zdawałoby się, że przynajmniej pod względem wynalazków Chińczycy uznają wyższość Europejczyków nad sobą. Lecz i w tem mylimy się zupełnie, bowiem na wszystkie zdobycze naszej wiedzy patrzą oni, jak, na sztuki czarnoksiężskie. W ich przekonaniu są to rzeczy ciekawe, niezrozumiałe, lecz mało użyteczne, a sprzeciwiają się nauce Konfucjusza, który wyznawcom swoim stanowczo zabronił zajmować się czarami. W zakazie mistrza upatrywać należy źródła oporu, z jakim Chińczycy bronią się przed zaprowadzeniem w ich kraju kolei żelaznych i wszystkich cudów elektryczności.

Jednak niektórzy uczeni chińscy i mężowie stanu coraz lepiej rozumieją wartość naszych wynalazków, a nie chcąc przyznać swej niższości, objaśniają, iż Europejczycy podstępnie wykradali tajemnice ich mędrców i obecnie korzystają jedynie z badań, mądrości i nauki starożytnych Chińczyków, którzy przed wiekami jeszcze, uprawiając matematykę i nauki przyrodnicze, doprowadzili je do wysokiego stopnia rozwoju.

W oczach Chińczyków najmądrzejszy nawet Europejczyk nie będzie nigdy wzorem, godnym naśladowania.

Idealem ich jest uczony, zagrzebany w dziełach pisarzy starożytnych, który w księgach ich szpera przez całe życie, co parę lat zdaje egzamina, a, pielęgnując paznokcie na kilka cali długie, niezdolny jest do żadnej pracy, z wyjątkiem jedynie udzielania swej mądrości młodszemu pokoleniu.

Owi uczeni chińscy należą właśnie do najzawziętszych wrogów ludów Zachodnich. Za sprawą ich w ostatnich latach rozchodzi się w Chinach mnóstwo książek, w jaknajgorszym świetle przedstawiających narody europejskie.

Był czas, kiedy Anglicy, chcąc zawładnąć Chinami, zalewali je wyrobami swego przemysłu: ślali więc ładowne okręty, pełne maszyn, fortepianów, noży, widelców i t. p. rzeczy. Wkrótce przekonali się jednak, że droga ta nie doprowadzi ich do pożądanego celu.

Chińczykom nie imponuje ani nauka nasza, ani wynalazki, ani przemysł. Oni przedewszystkiem cenią moralną potęgę swego narodu, a, zdaniem ich, równej doskonałości nigdzie nie spotykają.

Szacunek ich zdobędziemy wtedy tylko, jeśli przekonamy ich, że nasza cywilizacja chrześcijańska, stawiając wyższe ideały szlachetności i zaparcia się siebie, czyni ludzi lepszymi, zaszczerpia w nich miłość bliźniego, gotowość poświęcania się dla szczęścia innych, czego cała ich odwieczna mądrość nie jest w stanie sprawić.

Jeśli tego nie dokażemy, to Chińczycy, przejęci moralną swą wielkością, chociaż pobici siłą oręża, zawsze na nas z pogardą i lekceważeniem spoglądać będą.



Bożek chiński.

TESTAMENT DZIWAKA

POWIEŚĆ

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Titburowie coraz więcej zachwyceni byli towarzystwem pana Inglisa, obdarzonego rzeczywicie szczerogólnym talentem, prowadzenia rozmowy. Oczywiście żałował on szczególnieśliwych czasów kiedy „kościół mormoński” stał w pełni swej świetności, szerząc zasady wielkiego proroka Joe

Smitha, które jakoby udzielone mu zostały bezpośrednio przez „Ducha bożego” na złotych tabliczkach, w pamiętnym dla sekty roku 1830. Z najwyższym też uznaniem wyrażał się o sławetnym Brighamie Young, głowie kościoła, który niezważając na trudy i niebezpieczeństwa, jak drugi Jozue, przeprowadził całe zgromadzenie wraz z apostołami na terytorium Słonego jeziora, gdzie założył nową Jerozolimę.

I czyliż gród ten nie zasługiwał na owo zaszczytne miano, tak samo, jak słusznie Jordanem nazwaną została rzeka, płynąca u stóp jego?...

Tamto właśnie nastąpiła najszcześniejsza doba w dziejach wybranego ludu, który dziś niestety prześladowany, szukać musi spokojnego istnienia aż w posiadłościach Meksyku.

Pan Robert Inglis prawil z wielką siłą przekonania; szkoda tylko, że zamilczał zrecznie o fakcie, iż wzrastająca

w Utah sekta mormonów nie tyle w gruncie rzeczy dbała o swe dziwaczne praktyki religijne, ile dążyła do niezawisłości politycznej; o czem gdy rząd się przekonał, polecił generałowi Grantowi zaprowadzić należyty porządek. Wielki więc prorok i jego apostołowie osadzeni zostali w więzieniu, Utah otrzymało nową administrację, a wielożeństwo, jako przeciwne moralności publicznej bezwzględnie zabronione. Obecnie Nowy Syon utrzymany jest w należnym spokoju postrachem wzniesionego w pobliżu fortu Duglas.

Tak zajęci rozmową podróżni nie zwrócili żadnej uwagi na kraj przez który przejeżdżali, ale też chociażby zdolni byli zainteresować się pięknem przyrody, tu nie straciliby wiele.

Kraj nad Słonem jeziorem przedstawia równinę pustą, nieurodzajną, na której piaskach zielenieje tu i owdzie skromny tymon lub rozmaryn, a częściej świecą białością szronu wykwitujące na powierzchni sole alkaliczne, któremi tak samo wody jeziora, jak okoliczna ziemia na wskroś jest przejęta aż do gór Wahsatch, ciągnących się po stronie wschodniej.

Było już blisko ósmej, gdy dojeżdżano do Salt Lake City. *)

— Wspaniałe to nasze miasto, liczące z górą pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców — mówił Robert Inglis, dodając z wielkiego zapału aż kilka tysięcy więcej — musicie państwo zwiedzić koniecznie. Jeżeli pozwolicie będę wam cyceronem. Od strony wschodniej otaczają nas wspaniałe góry, a wspaniały Jordan ułatwia komunikację ze wspaniałym jeziorem. Domy zbudowane przeważnie z kamienia, otaczają wspaniałe ogrody i sady bogate w najwspanialsze drzewa owocowe. W wspaniałych magazynach mieszczących się wzdłuż wspaniałych ulic może zakupić wszystkie mieszkaniec wspaniałych gmachów, będących ostatnim wyrazem wspaniałej architektury mormońskiej. I któżby nie zachwyił się wspaniałą dawną rezydencją Brighama, ktoby nie stanął pełen podziwu przed najwspanialszą Świątynią mormońską, ze wspaniałym wewnątrz ołtarzem ofiarnym, arcydziełem sztuki rzeźbiarskiej, świątynią tak obszerną, że może pomieścić do ośmiu tysięcy wiernych.

A z jakąż wspaniałością odbywały się tu nabożeństwa z przewodniczącym i wspaniałą asystą dwunastu apostołów na wywyższeniu wśród tłumu wiernych, słuchających słów księgi św. spisanej wspaniałą ręką samego wielkiego Ducha Mormona! ..

Jednym słowem wszystko było wspaniałe od początku do końca w tej siedzibie mormońskiej — tylko ostrzegamy, nie wszystko tak jest rzeczywiście, p. Inglis bowiem pozwolił sobie na dużą przesadę. Nawet świątynia jest tylko względnie dość oryginalnym, ale raczej prywatnym budynkiem, a nie domem Bożym.

Zbyt późna wszakże już była pora, aby Titburowie mogli zaraz sprawdzić prawdę słów pana Inglisa, gdyby nawet byli jak najwięcej zaciekawieni. Teraz przedewszystkiem należało myśleć o spoczynku.

Uprzejmy towarzysz podróży nie zapomniał o danej obietnicy, okazując się gotowym zaraz z dworca zaprowadzić ich do tak zachwalonego „Taniego hotelu.”

Skąpcy skwapliwie przyjęli propozycję i zostawiwszy kuferek na kolei podążyli za swym przewodnikiem, który z wielkiej uprzejmości nie dozwolił szanownej pani Katarzynie trudzić się niesieniem torby podróżnej, lecz sam ją dźwigał całą drogę.

Przeprawa ta trwała trochę długo i noc była zupełna, gdy na prawym brzegu rzeczki, którą pan Inglis nazwał Crescent riwer, ze trzy mile ang. za miastem, zatrzymano się przed jakimś domem; ciemność niedozwalała już nic wyróżnić dokoła.

Na wezwanie pana Inglisa ukazał się we drzwiach ze światłem sam oberzysta, co prawda mało obiecującej powierzchowności, lecz Titburowie zbyt już byli znużeni, aby

mogli szukać teraz innego hotelu; zresztą był to przecie hotel tani, a to rzecz najważniejsza.

Więc po wzajemnych życzeniach dobrej nocy rozstali się z miłym swym towarzyszem i przeszli do gościnnego pokoju, jaki gospodarz im wskazał.

Było tu bardzo skromnie. Tylko najkonieczniejsze mebelki stały wśród ścian wybielonych wapnem. Któż jednak za tanie pieniądze może wymagać komfortu?

Posiliwszy się nieco, zasnęli nasi podróżni, a miłe sny o świetnym rezultacie następnego dla nich rzutu kości usposobiły ich jak najlepiej następnego ranka.

Nie spieszyli się wszakże z ubieraniem, wiedząc, że uprzejmy ich przewodnik przyjdzie dopiero o dziesiątej. Możeby nawet woleli nie trudzić się wcale oglądaniem miasta, bo cóż ich ono w rzeczywistości obchodziło, ale przecie nie wypadało odrzucać ofiarowanych sobie usług tak grzecznego pana, i to jeszcze za darmo.

Musiał jednak pan Inglis zasnąć, bo dziewiąta dawno wybiła, a nikt się do nich nie zgłosił; więc dla zabicia czasu podróżni spoglądali przez okno na ulicę, a raczej szeroki gościńiec, po którym w one часы, gdy potrzeba było kilku miesięcy do przebycia przestrzeni między New-Yorkiem, a zachodnimi ziemiami Unii, ciągnęły ładowne wozy zaprzężone w kilkanaście par wołów.

Widocznie „Cheap Hotel” stał tu odosobniony, bo chociaż pan Herman o ile mógł wychylał się z okna, nie dojrzał ani na prawo, ani na lewo żadnego zabudowania, nic prócz zbitej zieleni lasów sosnowych, które się pięły po stromej naprzeciwległej górze.

Po dziesiątej Titburowie zaczęli się niecierpliwić i już też dobrze czuli się głodni.

Wyjdźmy z tąd — powiedziała pani Katarzyna.

— Wyjdźmy — powtórzył pan Herman i otworzył drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju, a raczej obszernej karczemnej izby z wejściem wprost od ulicy.

Przy stole siedziało właśnie dwóch drabów w wyniszczonym ubraniu z wyrazem twarzy nałogowych pijaków i ludzi zdolnych do każdego czynu. Nie zważając wiele na nich, skąpcy zmierzali ku drzwiom wchodowym.

— Nie można wyjść — odezwał się jeden z drabów ochrypłym głosem od nadmiaru wypitego whisky.

— Jakto, wyjść nie można? — zapytał zdziwiony pan Herman.

— Trzeba wpięć zapłacić...

— Płacić, a to za co? — zawołali skąpcy równocześnie.

— Ha, trzeba płacić za wyjście...

— Wolne żarty, mój panie, nikt przecie za wyjście z hotelu nie opłaca — rzekł, śmiejąc się Titbury, ale żona jego przeczuwając już w tem nową jakąś przykrość zapytała:

— Ile?

— Trzy tysiące dolarów — odpowiedział dobrze obojgu znany głos Roberta Inglisa, wchodzącego właśnie do izby.

Mniej od swej Kasi domyślny pan Herman jeszcze brał wszystko za żart, niewczesny co prawda, ale zawsze żart tylko.

— A-a-a! oto i nasz przyjaciel! — zawołał witając przybyłego.

— We własnej osobie — odpowiedział Inglis z pięknym ukłonem.

— I jak zawsze w dobrym humorze!..

— Jak zawsze...

— I zażartowałeś pan z nas sobie, chcąc nas nastraszyć. Trzy tysiące dolarów, ładna to sumka — niema co mówić...

— Co pan chcesz, to jest zwykła cena w Cheap Hotel.

— Przecie pan nie mówisz tego na seryo? — zapytała pani Titbury błędnie.

— Zupełnie seryo, droga pani.

— Co, co?... — krzyknął teraz pan Herman i z gniewem rzucił się ku drzwiom, aby wyjść natychmiast, lecz

*) Salt Lake City znaczy: miasto słonego jeziora.

w teje chwili uczuł się pochwycony, jak w żelazne kleszcze. Dwie ciężkie łapy draba przykuły go do miejsca.

Cóż to takiego? Kimże właściwie był ten pan Inglis? Ni mniej ni więcej tylko jednym z tych opryszków jakich niestety dużo jeszcze spotkać można w owych oddalonych stronach kraju; ludzi przebiegłych i zręcznych, którzy czyhają chytrze na naiwnych podróżnych, obalamucając ich swą udaną uprzejmością, aby następnie odrzeć ich do ostatniego grosza z pomocą mniej już eleganckich współników, na których sumieniu nietylko zawartość pugilarasu ofiar, lecz i życie niejednego niezawodnie ciąży.

(d. c. n.)

CZY SIĘ UDA?

KOMEDYJKA W 1-ym AKCIE.

(Dokończenie).

SCENA 4-ta.

Panna Celina, Zuzia, Helena (w ukryciu).

Zuzia (otwiera drzwi i wpuszcza przybyłą). Proszę, proszę pani.

Panna Celina. Jak się masz, moje dziecko. Czy zastałam państwa w domu?

Zuzia. Są proszę pani; pan zajęty jest w tej chwili rozmową z jakimś interesantem, ale jest tu właśnie panna Helena (rozglądając się po pokoju). A cóż to! już jej niema? dopiero co tu była i rozmawiała ze mną.

Panna Celina. Swobodna teraz, buja sobie jak ptaszek! (chłodząc się). O! jakże jestem zmęczona; cóż to za upał! moja głowa! (dotyka ręką czoła).

Helena. Żał mi, że przyszła w tej godzinie; głowa ją rozboleła! biedna..

Zuzia. Niech pani z łaski swojej spocznie; biegnę zaraz oznajmić panu. (wychodzi).

SCENA 5-ta.

Panna Celina, Helena (w ukryciu).

Panna Celina. Zacni ludzie! tak ojciec jak córka.

Helena (półgłosem). Córka — to niezawsze.

Panna Celina. On, że odgadł moją potrzebę...

Helena. Ciekawam jaką?

Panna Celina. Pokrzepię siły stargane całoroczną pracą, a oszczędzone pieniądze będę mogła posłać mojej biednej matce.

Helena. O tem nie pomyślałam.

Panna Celina. Ale i Helena, dobra dziewczynka, że pragnie uczyć się przez wakacje.

Helena. Uwierzyła temu, o czem ja ani myślę.

Panna Celina. Zdziwiło mnie to z początku trochę, bo prawdę powiedziawszy, jest ona bardzo leniwa.

Helena. Bardzo leniwa! jaka niegrzeczna, dobrze, że ją zwiodłam.

Panna Celina. A mimo to, dobra z niej dziewczynka.

Helena. Niebardzo.

Panna Celina. Dobra jest i kocha ojca, więc pragnie, dobrem użyciem wakacyi zrobić mu przyjemność. Figlarka z niej, to prawda; lecz złote ma serce: chyba nikomu w życiu nie zrobiła przykrości.

Helena. O! czy tak!

Panna Celina. Za taką gorliwość i dobre chęci, postaram się uprzyjemnić jej wakacje przez pobyt mój na wsi.

Helena. Ciekawam czem? pewno znów dyktando.

Panna Celina. Będą to daleko przyjemniejsze lekcye.

Helena. Nie wiem, jakim sposobem.

Panna Celina. Tu, w mieście czas jest ograniczony. Aby przez dwie godziny zdążyć ze wszystkim, trzeba się śpieszyć; stąd wykład często bywa suchy, nudny.

Helena. To prawda.

Panna Celina. Ale tam, na wsi, to zupełnie co innego! tam będzie to więcej rozrywka niż lekcya.

Helena. Czy tak?

Panna Celina. Tam, ucząc się, bawić się będziemy opowiadaniem ciekawych w świecie zdarzeń, z życia różnych ludów...

Helena. O! lubię to bardzo.

Panna Celina. Książką będzie nam każdy listek, każdy kamień.

Helena. Ręczę, że to ciekawsze niż gramatyka.

Panna Celina. A co to uciechy będzie, jak ją nauczę różnych sztuk i zabawek, opartych na prostem obliczeniu arytmetycznem.

Helena. Żałuję teraz, że ten list napisała — o! bardzo żałuję.

Panna Celina (chłodząc się). Żał mi, że nie będę mogła zajrzeć choć na krótko w strony rodzinne. Ale robię to głównie dla matki.

Helena (ze wzruszeniem). Dla matki! (po chwili). O! Boże, słyszę czyjeś kroki, pewno tatuś idzie.

SCENA 6-ta.

Ciż sami. Pan Krzewski, Zuzia.

Pan Krzewski (wchodząc). Witam szanowną panią. Cemuż zawdzięczamy tak miłą niespodziankę?

Panna Celina. Z całą przyjemnością pospieszyłam, by odpowiedzieć na łaskawe wezwanie.

Pan Krzewski. Wezwanie? jakżebyś śmiała...

Panna Celina. Propozycja pana jest dla mnie tak miła i korzystna, iż mimo dzisiejszego upału...

Pan Krzewski. Moja propozycja?

Panna Celina (na stronie). Czyżbym się pomyliła, lub źle zrozumiała?

Helena (wychodzi z ukrycia i staje wobec rozmawiających). Nie pomyliła się pani bynajmniej, (zwracając się do ojca). Wybacz, ojczu, ale list napisany do pani był to mój własny pomysł. Wiesz, drogi ojczu, jak niewiele postąpiłam w nauce w tym roku; umyśliłam przeto prosić pannę Celinę w twojem imieniu, aby mi chciała i przez wakacje udzielać swej pomocy, jadąc z nami na wieś.

Pan Krzewski. I robiłaś to, Helenko, bez mojej wiedzy?

Helena. Było źle może; ale wiedząc, że tatunio nie jest przeciwny moim życzeniom, gdy idzie o rzecz bardzo pożyteczną, umyśliłam, że chęć taka z mojej strony, będzie mu tem więcej miła, że niespodziewana.

Pan Krzewski. Bez wątpienia, moje dziecko; miałem ja sam ten projekt, ale nie chciałem mówić z tobą pierwszy. Jakże mnie ucieszyłaś twoim postępkim.

Panna Celina. Powinszować panu tak rozsądnej córki, niewiele znalazłoby się dziewczątek w jej wieku, gotowych do takiego postanowienia.

Pan Krzewski. Prawdziwa to jest pociecha dla serca rodzicielskiego.

Panna Celina. I pochlebne zarazem dla nauczycielki, gdy uczennica tak umie cenić korzyści nauki.

(w czasie ostatniej rozmowy Helena stoi zakłopotana).

Helena. A więc wyznam prawdę. Nie, mój tatusiu, nie, dobra pani, te pochwały mnie się nie należą. Daleka od nich, powinnam raczej być ukaraną.

Pan Krzewski. Ukaraną? za cóż to, moje dziecko?

Helena. Tak, postąpiłam źle i do tego skłamałam. Wiesz tatuniu, że lubię drugich zwodzić, nasłuchawszy się

od Gucia, mojego brata, jak śmieszne nieraz wynikają rzeczy z listów pisanych w takim celu, przyszło mi do głowy, dla zabawy, zwieść pannę Celinę i zawiadomić ją żartem, że chciałabym uczyć się przez wakacje.

Pan Krzewski (*smutno*). Tyś to zrobiła, Helenko?

Helenka (*ze łzami w oczach*). Tak, ojczy, i ukryłam się tam, za portyera, aby się zabawić zakłopotaniem panny Celiny.

Panna Celina (*podnosząc rękę do czoła*). O!!

Pan Krzewski. Helenko! Helenko!

Helenka. O! tatuniu, kara mnie już spotkała, gdy widzę twój smutek; i wpiersz jeszcze, gdy się dowiedziałam, jak panna Celina jest zmęczona, a pomimo to chce pracować, jak ją głowa rozbolała przeze mnie! to jest kara, którą dłużej pamiętać będę, niż każdą inną.

Pan Krzewski. Żal głodzi winę, ale i zadosyćuczynienie potrzebne.

Helenka. Cokolwiek mnie spotka, o to tylko proszę tatuńcia, aby panna Celina jechała z nami na wakacje.

Pan Krzewski. Co do mnie, całem sercem tego pragnę, ale czy ona przystanie?

Helenka. Gdyby odmówiła, myślałabym, że się bardzo na mnie gniewa.

Panna Celina. Gniewać się już nie mogę, moję dziecię, gdy uczułaś swą winę i wyznajesz ją tak szczerze.

Helenka. A pilnością i uwagą będę się starała ją wynagrodzić.

Pan Krzewski. Postanowienie twoje, Helenko, bardzo jest słuszne, ale pamiętaj, że nie wszystkie żarty uchodzą bezkarnie. Bywają przewinienia, których skutki nie dadzą się naprawić; niewinne na pozor, a mogą nieraz sprowadzić nieszczęście. Pomyśl, że i twój dzisiejszy żart niewczesny, mógłby narazić na chorobę osobę, którą kochasz i szanujesz.

Helenka. O! tatusiu, drzę na tę myśl samą (*do panny Celiny*). Czy pani dolega jeszcze ból głowy?

Panna Celina. Znacznie mniej.

Pan Krzewski (*porusza dzwonkiem, stojącym na stole; za chwilę wchodzi Zuzia*). Powiedz Walentemu, aby podał śniadanie.

Zuzia. Już proszę pana do stołu nakryte, za chwilę podam.

Pan Krzewski (*do panny Celiny*). Przejdźmy do jadalnego pokoju, tam się szanowna pani ochłodzi; lekkomyślność mojej córki naraziła panią na takie znużenie — przez dawną przyjaźń dla nieżyjącej matki niech jej to pani wybacz.

Panna Celina. Figlarka to mała, ale serce ma dobre.

Pan Krzewski. Przy sercu jednak potrzebne i zastanowienie? (*zwracając się do Helenki*). Pamiętaj dziecko na te słowa:

Przy zwodzeniu bądź ostrożna,
Nie każdego zwodzić można;
Żart niewczesny nieraz szkodzi,
Więc kto kocha, ten nie zwodzi.

Tej zasady trzymaj się zawsze i niech ci będzie nauką twój figiel dzisiejszy.

Panna Celina. Figiel niewinny i...

Helenka. I brzydkie, ale ostatnie.

(*wychodząc*).

I. G.

METAGRAM.

Przez *k* ziarno co daje przysmaki nielada,

Przez *M* europejska wpośród Chin osada.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Od Wisłki dla Turkaweczki.

Ułożyć 14 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożą imiona i nazwiska dwóch polskich poetów.

Sylaby: a—b—bro—be—czec—cie—ci—dya—deo—e—
for—gu—cho—in—il—i—ka—lik—lec—li—lon—me—mon—
men—ne—na—nia—nek—ris—sa—slaw—te—taj—wi—wie—zi—
—zam.

Znaczenie wyrazów: 1) Pasma gór w Azji. 2) Grecka bogini. 3) Syn Dawida. 4) Władca Abisynii. 5) Miasto w połud. Ameryce. 6) Rzeka stepowa w gub. Chersońskiej. 7) Mieszkaniec państwa Austro-Węgierskiego. 8) Półwysep w Ameryce. 9) Jezioro w Rosji. 10) Rzeka w Hiszpanii. 11) Utwór Brodzińskiego. 12) Grecka bogini tęczy. 13) Miejsce kąpielowe w kraju. 14) Rzeka w Afryce.

ROZWIĄZANIA DO Nru. 36-go.

Szaradg: Ka — pu — sta.

Łamigłówki sylabowej:

1) Panama. 2) Amsterdam. 3) Węgry. 4) Eunice. 5) Łącznik. 6) Kowno. 7) Rosa. 8) Urth. 9) Gabryel. 10) Eszejd. 11) Rawenna.

Paweł Krüger — Marcin Stejn.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał IV-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

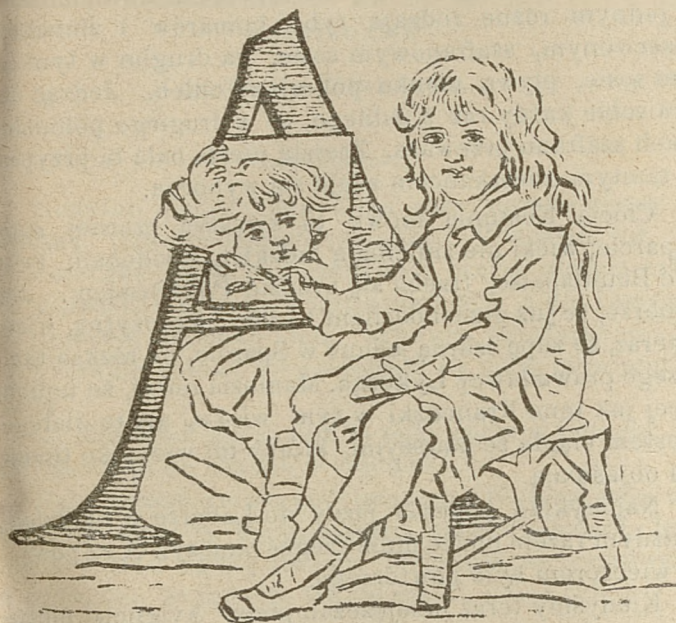
W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Brama pałacu cesarskiego w Pekinie (ryc.) — Na schyłku XIX stulecia, przez dr M. Stefanowską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Najlicniejszy naród na świecie, opracowała Tomira (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Czy się uda? komedijka w 1-ym akcie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Artysta (z ryc.) — Kogucik wiersz. — Dzienniczek Władzi. — Figiel za figiel, opowiadanie przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraszewskiego przez Zofię Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 1 Сентября 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



Artysta.

— Adziu! Adziu! chodź tu, prędko! powiem ci coś ekawego! — woła Dziunia.

Adzio biegnie, o ile sił starczy. Po drodze potrąca zesło, potyka się o śpiącego pieska, który warknął; dzio robi smutną minę, ale biegnie dalej. We drzwiach otyka go Dziunia.

— Będziemy się bawili w malarza, jak tatuś.

— O! dobrze, dobrze — woła rozpromieniony Adzio.

I oboje wspinają się szybko po schodach, w górę, padają do pracowni ojca.

— Co za szczęście! niema nikogo! możemy malować! — woła dumnie.

I wnet chwytą paletę z farbami i pendzle, sadza Adzia niskim krzeselku, układa mu główkę, rączki i nóżki. Potem siada sama przed stalugami, na których umieszczono karton. Adzio siedzi spokojnie, cichutko, ani drgnie. To za pyszna zabawa! Dziunia maluje z zapalem, wszystkie pendzle i farby są w użyciu; karton zamalowany od ry do dołu, a i sukience i ręką się dostało. Adziowi jednak zaczyna się przykrzeć ta zabawa; schodzi z krzesła cichutko, staje za sztalugami, zamierza się i przebić główką papier.

Teraz portret zupełnie udatny!

Ale co powie tatuś, gdy przyjdzie? Pewno kara, nie minie, czy to ładnie tak psocić?

Kogucik.

— Czemu wołasz „kukuryku?”

Rozgniewany Władzio pyta.

— Ja cię budzę mój chłopczyku, Trzeba wstawać, dzionek świta.”

— Gdyby nie twe głośnie pianie Spałbym smacznie w mem łóżeczku.

— To nie zdrowe długie spanie, Wstawaj, wstawaj kochaneczku!

Zmów paciorek; zjedz śniadanie, Potem weź się do książeczki;

Gdyby nie me ranne pianie Długo spałyby dziecieczki.

Dzienniczek Wańdzi

(Dalszy ciąg).

Marsylia 30/4 1900 r.

Nazajutrz ze wschodem słońca byliśmy na nogach, aby wcześniej dostać się do spowiedzi. Zauważyłam w kościele pewną zmianę: krzesel niema ustawionych w regularnych rzędach, jak w paryskich kościołach, tylko gdzieś niedzie stoją po kątach, a ludzie klękają jak u nas. Aby się dostać do tego kościoła Notre Dame de la Garde, trzeba wsiąść w oszkloną windę, rodzaj pokoiku, w którym 10 osób się zmieści i oto podnosimy się zwolna ponad domy, dachy, ulice, ogrody, morze, wszystko kładzie się u stóp naszych, wszystko zdaje się coraz mniejsze, my górujemy nad wszystkim. Z początku zaczął mnie brać strach, musiałam zblednąć, bo ojczulek wstał ze swego miejsca, usiadł przy mnie, wziął mnie za rękę i zaczął pokazywać, jak bardzo jesteśmy wysoko, a domy, dachy, niziutko pod nami. To mnie uspokoiło i mogłam już zupełnie oddać się przypatrywaniu wspaniałemu widokowi, jaki mieliśmy z okien windy.

Nareszcie wysiadamy, ale nie tu jeszcze koniec naszej powietrznej wędrówki, jeszcze mamy nieprzeliczone mnóstwo widoków. Idziemy, idziemy, po tych ogromnych szerokich stopniach kamiennych, a wiatr mistral coraz energiczniej zawiewa.

Ojczulek z mamusią musieli mnie trzymać za ręce, inaczej zmiótłby mnie prosto w szafirowe morze.

Stajemy u drzwi kościoła dolnego, to rodzaj krypty

ciemnej, a dalej jeszcze raz schody i jesteśmy w kościele wotywnym Notre Dame de la Garde.

Ojczulek pokazywał mi wszystko i tłumaczył. Jak to dobrze mieć takiego dobrego ojczulka, co wszystko umie i chce wytłumaczyć. Mówił mi więc że styl, to jest budowa tego kościoła, jest bizantyjski mieszany, prześliczny, wota wiszą w okolo, małe srebrne statki, ofiarowane przez rodziny uratowanych podróżnych. Całe ściany wykładane tabliczkami marmurowymi z napisami: „merci, o Vierge sainte, d'avoir sauvé du naufrage mon mari, albo mon fils, ma fille i t. d. A przytem nazwiska ofiarodawców; ciocia Kostunia szukała chciwie, czy wśród tego mnóstwa nazwisk francuskich i nie francuskich nie wyczyta polskiego — nie, niema tam żadnego rodaka co by Matce Boskiej marsylijskiej zawdzięczał swe ocalenie. Po Komunii św. wzniesliśmy korną modlitwę na intencję wszystkich znanych i nieznanym podróżnych morskich. Potem wyszedłszy na platformę opieramy się o balustradę i patrzymy w przepaść u stóp naszych będącą. Co za przerażająca wysokość, aż mi się słabo zrobiło. Cała Marsylia, port, zatoka, statki na morzu, sieć ulic, wszystko wydaje się nam małeńkie, jak zabawki dziecinne.

Ojczulek zwrócił mi uwagę na to, co za trud szalony wnieść na tej olbrzymiej wysokości tak wspaniałą świątynię. Ile potu ludzkiego, ile wiary w sercu tych, którzy powzięli myśl tej budowy.

Nie mogliśmy długo tam pozostać, bo konduktor windy dał sygnał odjazdu. Zbiegamy ze schodów, wchodzimy do klatki oszklonej i spuszczaemy się na dół.

Dziwne się ma uczucie, krajobraz rośnie, domy coraz bliższe, większe, wszystko zarysowuje się wyraźniej; z lekkim zawrotem głowy stajemy znów na placu. Ale ja miałam uczucie, jakbym powracała z innej krainy.

Ojczulek kazał mi spojrzeć w górę, trudno uwierzyć, że byliśmy tak wysoko. Na placu rząd powozów czeka; poszliśmy najpierw do kawiarni, a wracając skinęliśmy na jeden z nich. Ojczulek kazał woźnicy jechać w okolo miasta przez tak zwaną „Corniche” śliczną drogę nad morzem. Ciocia Kostunia powiedziała mi, że to droga opisywana przez poetów. Z ogromną ciekawością patrzyłam na prawo i na lewo, ciągle się o coś dopytując. Co za kraj uroczy, południe z całym bogactwem roślinności. Po jednej stronie na wzniesieniu skalistym wille białe, zaciszne, wśród palm zielonowłosych, olbrzymich kaktusów, aloesów. Ciocia Kostunia wspomniała o tym swoim małym aloesie, który tak troskliwie pielęgnuje w doniczce w domu i powiedziała:

— Tu na złomie skały kąpie się on w słońcu nie siany, nie sadzony, ogromny, rozciąga swe grube, mięsiste liście, zakończone ostreimi szpilkami, widać, że on tu królem roślinności, to jego grunt, jego ojczyzna. W innej ziemi karłowacieje, staje się anemicznym i wygląda sztucznie.

Powóz toczy się po białej i gładkiej drodze tuż nad brzegiem morza, mieniącego się w blaskach południowego słońca. To morze tutaj zupełnie inne jak w Cherbourgu. Tam było ciemne, smutne, groźne. Tu przeciwnie, wesołe i niebieskie. Skręcamy i wjeżdżamy w aleję szeroką, nieskończoną, wysadzoną dwoma rzędami platanów z białą korą. Jest to Prado, miejsce ulubione przechadzek pieszych, konnych i powozowych.

— Rodzaj Pól Elizejskich w Paryżu — objaśni ojczulek.

— Ale w innym, mniej ruchliwym, więcej poważnym charakterze, dodaje ciocia Kostunia.

Skończyły się aleje, wjeżdżamy w miasto, stajemy przed restauracją. Za poradą cioci Kostuni kazał tatuś podać „Bouillabaise”.

— Jest to potrawa — objaśniała mnie mamusia — marsylijska, nad którą mieszkańcy południowej Francji się rozpływają. Opisywana wielokrotnie w powieściach potrawa ta, przedstawia się następująco: dwa półmiski na jednym różnym rodzaju ryb, homarów i ślimaków w czerwonym, szafranowym sosie, na drugim w tym samym sosie, pływa cienko pokrajany chleb. Jedząc do biera sobie każdy raz z jednego, to z drugiego półmiska zapach szafranu przeważa. Zresztą nieźle cała ta przyprawa, tamtym mieszkańcom zdaje się wyborna.

Ciocia Kostunia mówi; to kwestya czarnej zupy w Sparcie; wieki nie zmieniają ludzkich upodobań; żeby lubić Bouillabaise, trzeba się urodzić Prowinsalem. Jak to dobrze, że już przechodziłam historię starożytną, wiem już teraz, że zupę czarną jadano w Sparcie, na rozkaz tamtejszego prawodawcy Lykurga. Mamusia mówi, że umiem więcej jak inne Francuzki w tym wieku, ale to dlatego że jestem ciągle ze starszymi, którzy mi wszystko tłumaczą i objaśniają.

Naprzykład podczas jazdy do Labarre w niedzielę za każdym razem ojciec mnie czegoś nauczył. A za powrotem wieczorem było powtórzenie.

Kiedyśmy teraz przejeżdżali przez Avignon, ojczulek mnie pytał, co mi to miasto przypomina, a ja na szczęście wiedziałam, że tu rezydowali dłuższy czas papieże.

— Brawo Wanda — zawołała ciocia Kostunia. — Potem co stacya pytała mi się, to o jakie zdanie z historii to o jaką nazwę z geografii, jak nie wiedziałam, to mnie pouczała. Przez ten czas w podróży nauczyłam się więcej jak przez miesiąc na pensyi. Ale też ciocia Kostunia ma taki miły, zajmujący dar opowiadania, ani się czuje, że to nauka.

Po tej szafranem zaprawionej potrawie, trzeba się napić chociażby herbaty i naradzić, gdzie najlepiej wieczór spędzić. Siadamy więc w oknie kawiarni za szybą jedną tak ogromną jak brama. Patrzymy na tłumy przechodniów, spieszących na widowiska wieczorne. Tatusz zapytuje garsona, gdzieby można ten dzień najprzyjemniej zakończyć. Garson stawia herbatę i nieodłączne od niej karafeczki fleur d'oranger.

Stanowczo nam radzi pójść do Palais de Cristal. Ja sobie wyobrażałam, że to będzie coś szklanego, bo słowo Cristal kazało mi przypuszczać koniecznie, że ujrzymy coś lustrzanego, jeżeli nie prawdziwie kryształowego. Ale nic z tego, zupełnie nie to znaleźliśmy. Palais de Cristal to poprostu ogromna sala teatralna, w której co wieczór odbywają się różnego rodzaju przedstawienia.

Miejsca niedrogie, siedzenia wygodne, kurtyna prawie ciągle otwarta a na scenę wchodzi śpiewacy, śpiewaczki, raz dyalog, raz sztuka cała, to znów akrobata podziwiać się każe. Przedstawienia te następują szybko jedno po drugim — rozmaitość. — Doprawdy, garson miał rację, doskonale można się zabawić w tym kryształ-

wym pałacu. Śpiewaczki coraz to piękniej ubrane. — atus mówił, że wszystkie typy południowe, bo wszystkie liczne brunetki, do cioci Otolii podobne. Cioci Kostuni łownie podobały się śpiewy, a mnie ubiory.

(d. c. n.)

Figiel za figiel

OPOWIADANIE

p. Julję Piasecką.

(Dokończenie).

Nietylko podsłuchiła kilka razy naradę mamy ze szwaczką, lecz i podejrzwała niejedno. Wiedziała już, że jej spódniczka miała być czerwona, oszyta złotym galosem, gorsecik niebieski, a fartuszek biały, a dla Lucynki przygotowały sukienkę białą, oszywaną wstążeczkami.

Udawała jednak niewiedomość i z miną niewiniątka mówiła:

— Mamusiu, po co tam ta pani siedzi w pokoju? co robi? czemu tu do nas nie przyjdzie?

Pani Burzańska nie podejrzewając filuteryi swej córeczki, zbywała ją wymijającemi odpowiedziami, lecz Zygmus patrzył na nią surowo. Wiedział, że pochwyciła już tajemnicę, że mówiąc tak do matki, udaje tylko.

Dnia pewnego, a było to właśnie wtedy, gdy szwaczka wykończyła już ubrania dziecinne, i porozkładała je na krzesłach i kanapie, aby się nie pogniotły, — Władzia biegła do pokoju matki tak uradowana, że od razu pomyślać było można, iż z wielkiego uszczęśliwienia zapominała przybrać maseczki obojętności i spokoju. Właśnie przez dziurkę od klucza zaglądała do tajemniczego pokoju.

— Mamo — zawołała — dla czego Rózia zaniósła prące żelazko tej pani, która siedzi w zamkniętym pokoju?

Mama spojrzała na córkę równocześnie z panną Teresą, i obie naraz głośnym wybuchnęły śmiechem.

— Władziu, jak ty wyglądasz, co za głupstwa wyprawiasz?

— Jakie głupstwa? — zapytała dziewczynka, nie rozumiejąc o co rzecz idzie.

— Spójrz tylko w lustro, całe czoło masz czernym zabrudzone, wyglądasz, jakbyś się umyślnie marowała.

Dziewczynka zaniepokojona, pobiegła do lustra przestraszona, zaczerwieniła się jak piwonia.

— Co to jest? — dopytywała się nauczycielka, wiążąc, że czarne plamy nie ustępują pod tarcie chustki.

— Nie wiem, proszę pani.

— Nie rozumiem, jak można nie wiedzieć, czem się ktoś zawałał i to na twarzy, przecież nigdzie chyba byłaś po wyjściu ze szkolnego pokoju?

— Nigdzie proszę pani!

— Prócz pode drzwiami pokoju, w którym szwaczszysze — szepnęła jej głos sumienia.

Spojrzała po obecnych. Matka i nauczycielka śmiały się z jej zabawnej miny, nie wiedząc nic o tem wszystkim, a Zygmus patrzył na nią tak surowo, że mimowoli wzrok spuściła ku ziemi.

Zawrzała w niej złość niepohamowana. Wybiegając z pokoju, zawołała:

— Zygmusiu, chodź ze mną.

Poszedł najspokojniej.

— Co to znaczy? — zawołała, tupiąc nogami — to pewnie twoja sprawka?

— Tak, moja — odrzekł spokojnie.

— Czemuś to zrobił? — krzyczała, cała czerwona ze złości. — Mów zaraz, wytłomacz się!

— Chcesz wiedzieć; z przyjemnością cię objaśnię. — Zrobiłem to z wielu przyczyn. Najpierw aby ci dać poznać, że chcąc drugim wytykać wady, chcąc ich poprawiać, trzeba przedewszystkiem samej starać się poprawić ze swoich, a nie szafować niesłusznemi zarzutami. Nazwałaś mnie kłamcą, dlatego, że przez wzgląd na słabe zdrowie siostrzyczki zataiłem przed nią na razie bolesną prawdę, a ty sama udajesz przed swoją mamą, że nie nie wiesz o niespodziance, jaką nam przygotowują, choć wszystko podejrzawaś i podsłuchiwałaś.

Władzia, usłyszawszy całą prawdę, przez brzydką skłonność do uniewinniania się, zawołała jeszcze:

— Skąd wiesz, że podglądałam?

Tym razem Zygmus uśmiechnął się.

— Widziałem, i żeby cię zniechęcić do wypierania się, posmarowałem zamek smołą, która przylgnęła do twego czoła.

Władzia płakała, lecz ze złości.

— Szkaradny Zygmusiu! — zawołała — zepsułeś mi całą zabawę, nie będę mogła ubrać się i tańczyć, smoła zmyć się nie da już nigdy.

— Owszem — odrzekł Zygmus — znam doskonały sposób na jej usunięcie, inaczej nie byłbym się dopuścił takiego figla. Ja nie jestem tak zły, jakim mnie sądzisz, sam ci usunę tę oznakę zbytnej ciekawości.

— A więc zrób to natychmiast — zawołała rozkazująco.

— O, przepraszam, moja droga, w ten sposób nie ze mną nie zrobisz. Rozkazywać mi nie masz prawa, i ja rozkazów takiej niedobrej dziewczynki nie słucham. Zrobię to wtedy tylko, gdy pójdziesz sama do mamy lub panny Teresy i wyznasz wszystko co zaszło, przyrzekając poprawę.

Władzia załamała ręce.

— Ja mam to wszystko powiedzieć mamie, pannie Teresie, one się będą gniewały na mnie. O Boże, Boże, jakże ja jestem nieszczęśliwa!

— Jesteś nią istotnie — rzekł Zygmus — lecz nie dlatego, że masz się przyznać do winy, lecz że masz złe serce i wiele wad. A pamiętasz twój złośliwy figiel z Kasią, samaś mi go opowiedziała.

— A twój figiel czy nie złośliwy? — wyjąkała, usiłując się bronić — jeszcze gorszy, czuję to dobrze!

— Wcale nie! Ty Kasię ośmieszyłaś przed obcymi, a ja zmuszam cię tylko przyznać się do winy przed mamą i panną Teresą.

Władzia po raz pierwszy zastanowiła się nad sobą

i swoim charakterem. Gdy spojrzała w głąb swego serca, przestraszyła się!

Jakże tam dużo było tych brzydkich czynów, skrywanych umiejętnie przed matką. Wszystkie stanęły jej przed oczami, jeden gorszy od drugiego.

I zrozumiała, że była złą, bardzo złą. Pobiegła więc do mamy i z płaczem serdecznie wypowiadała ze wszystkiego. Przrzekła poprawę, przeprosiła Zygmuś, że była przyczyną jego zmartwienia i choroby siostrzyczki, i postanowiła pracować nad poprawą własnego charakteru.

Biedna pani Burzańska ogromnie bolała nad tem odkryciem, nie sądziła bowiem, aby Władzia mogła być zdolną do podobnych złych czynów! A ponieważ nie zupełnie dowierzała przyrzeczeniom Władzi, odłożyła zabawę na przyszłość.

— Teraz nie zasługujesz na żadną przyjemność ani zabawę. Gdy po kilku lub kilkunastu tygodniach przekonam się, że stałaś się znową i dobrą dziewczynką, wtedy pomyślę o nagrodzie za tę pracę nad tobą; dziś nie jesteś jeszcze jej warta!

Władzia dotrzymała słowa. Strzegła się grzechu kłamstwa, ciekawości, plotkarstwa i napadów gniewu, a Zygmuś, proszony o pomoc, bywał jej nieraz bardzo użytecznym. Zapanowała pomiędzy nimi serdeczność, nawet przyjaźń. Zygmuś wybaczył wszystko i zapomniał, a gdy raz Lucynka, śmiejąc się wspominała o zamorusanej twarzy Władzi, ta z widoczną radością zawołała:

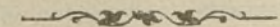
— Dziś nie żałuję tego wcale, co zrobił Zygmuś, jemu zawdzięczam, że sama sobą nie pogardzam. Byłam nie dziewczynką, ale potworem, i dziwię się nawet, jak mogłam śmiało patrzeć mamie i ojcu w oczy, będąc tak daleką od tego, za jaką oni mnie mieli!

W kilka miesięcy po tem zdarzeniu, w domu państwa Burzańskich zapanowała ogromna radość.

Matka Zygmuś i Lucynki doniosła, że ojciec otrzymał doskonałą posadę i że wkrótce zabiorą już dzieci do siebie, a choć zamieszkają daleko, raz na rok przyjeżdżać będą mogli do krewnych w kraju.

Władzia żałowała, że utraci tak miłych towarzyszy, a pani Burzańska na uczczenie tej wesołej nowiny i poprawy swej córeczki, zaprosiła gości i urządziła krakowskie wesele.

Rawiono się doskonale; Władzia i Lucynka dobrze wyglądały w gorsecikach i sutych spódniczkach i bardzo gościnnie spełniały role młodych gosposi.



ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Od Chochlika dla Jaskółki.

c c e e i i i l k l n
o o o o s s s s t t w w z z y

Z powyższych liter złożyć znane przysłowie.

ZAGADKA.

Na wprost jest męża biblijnem imieniem,
Na wspak dzikiego zwierzęcia schronieniem.

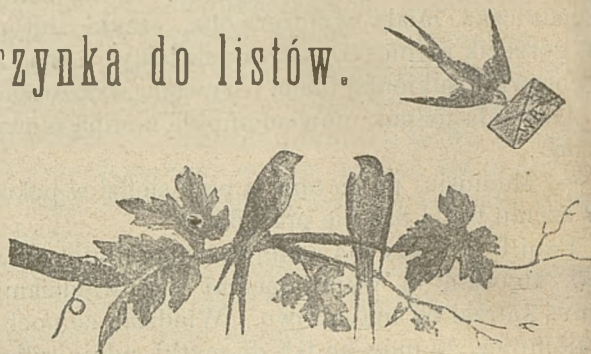
ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Szarady: Sa — la — ta.

Łamigłówki w kwadracie:

W	a	c	ł	a	w
C	e	b	u	l	a
K	o	r	o	n	a
A	f	r	y	k	a
W	ł	o	c	h	y
S	t	a	s	i	o

Skrzynka do listów.



Dla gorliwego czytelnika „Wieczorów” Józia Świąt. wysłał śmy żądane książki oraz Księgę rzeczy polskich, Glogera. Żałujemy tylko, że nie możemy dopełnić brakujących numerów z lat dawniejszych, gdyż „Wieczory” z tych lat są zupełnie wyzerpane. Z radą w wyborze powieści chętnie byśmy ci służyli, ale nie wiemy twoich upodobań, a wybór jest wielki, o czem przekonasz się możesz z katalogów, które księgarnie na żądanie rozsyłają.

Stosując się do życzenia p. A. Wąs., pod zmienionym adresem wysyłamy „Wieczory” dla malej czytelniczki, która je z takim żywym czytaniem zajęciem. Upodobania młodzieży w czytaniu naszego pisma, a tem samem nadzieja, że nasza siejba nie pada na żniwo, jest dla nas najmiłą za podjęte trudy nagrodą.

Słyszając Reginko Z. o świeżo wzniesionym kościele w Rostkowie, miejscu urodzenia Św. Stanisława Kostki, pytasz, jakim cnotami przeważnie jaśniał ten patron młodzieży polskiej. Oto oznaczał się wielką słodyczą i spokojem, znamionującym siłę ducha. Mając starszego brata, różniącego się zupełnie od niego charakterem, znosił z największą cierpliwością przykre jego obejście, budując wszystkich dookoła skromnością i niewinnością uczuć swoich. Urodzony r. 1550 w Rostkowie, w czterdziestym roku życia wysłany został na naukę do Wiednia, a wstąpiwszy następnie do zakonu Jezuitów r. 1568, mając zaledwie lat ośm, nańcie zakończył pelen cnot, choć tak krótki żywot. Pochowany w Rzymie.

Czarnemu Bociankowi, uczennicy wstępnej klasy, życzymy powodzenia w naukach.

Łamigłówki własnego układu i rozwiązania zadań z przeszłych numerów nadesłali: Czarny Bocian, Mruk, Sztubak, Marzycielka.

